

Moje powstanie

1 sierpnia 2018

Co tam dziecko pamięta? Dużo, nadspodziewanie dużo. A głównie dlatego, że to, co się dzieje, jest nietypowe, wychodzi poza granice normalności. Oczywiście, pamięć jest wybiórcza i zapamiętuje się tylko niektóre momenty. Dlatego każdy pamięta co innego.

Z czasów okupacji pamiętam conocne spuszczenie rolet na oknach, syreny alarmowe i bieg do piwnicy. Pamiętam mapy Europy i szpilki oznaczające przesuwanie się frontów. Pantelleria i Lampedusa, dwie mniej znane wyspy, weszły do mojego dziecięcego słownika wraz z „grubą Bertą” i „Krową” – działami niemieckimi.

Któregoś dnia ze spaceru w parku Mama zaciągnęła mnie i koleżankę Krysię do kościoła, żeby się modlić za Ojca, którego wezwano na Gestapo, oskarżonego o przechowywanie Żydów. Nie bardzo wiedziałam też, o co chodzi, kiedy nagle wyskoczyłyśmy z tramwaju, w którym siedzieli Niemcy, a ja użyłam najgorszego słowa w moim pojęciu i powiedziałam głośno: „Niemcy cinie” (świnie). O piętro niżej mieszkał lokator, który się ukrywał – przychodził do nas czasem skorzystać z telefonu i nazywał mnie „Shirley Temple”, bo miałam loki.

A potem wybuchło powstanie. Mamę z barykady, którą budowała z innymi, zabrali na Szucha, gdzie była siedziba Gestapo. Po nocy spędzonej na podwórzu kobiety poustawiano w rzędy, żeby osłaniały niemieckie czołgi. Pierwszy rząd padł. Mamie, która szła trzy metry za czołgiem, udało się zbiec do przejścia pod ulicą, zasypanego trupami. Po wielu godzinach dotarła do nas w samo święto Przemienienia Pańskiego. Uważała swoje ocalenie za cud. Pamiętam, jak siedzieliśmy w ciemnej kuchni, czekając na jej powrót, i że jadłam wtedy kawałek razowego chleba. Martwiłam się, że Mamy nie ma. Później, przez całe

Powstanie wyczekiwałam na jej powrót, kiedy chodziła po wodę,

bo wtedy Niemcy często ostrzeliwali stojących w kolejce ludzi.

Pierwsze dwa tygodnie powstania spędziliśmy w piwnicy naszego domu przy ulicy Szóstego Sierpnia (nr 9). Dołączyli się tam do nas nieznani ludzie, uciekinierzy z innych ulic. Pamiętam, jak z jakąś nieznaną mi dziewczynką jadłam gotowany pęczak, siedząc na górze tobołków. Pamiętam też ognisko rozpalone na podwórku naszej kamienicy – był to znak rozpoznawczy dla lotników, którzy zrzucaли żywność. Rano jeden z powstańców przyniósł mi tabliczkę czekolady. A w kilka dni później odłamek zabił małego chłopca z naszego domu, który wyszedł na podwórze. A w drugą kamienicę od naszej uderzyła bomba i cały dom się zawalił, grzebiąc znajomą rodzinę. Ocalał tylko ojciec.

Kiedy zaczęło się robić „gorąco”, przenieśliśmy się (tj. przekucaliśmy pod barykadą) do domu znajomych po drugiej stronie ulicy, gdzie mieścił się sztab AK i kuchnia polowa, która swoim rozmiarem zrobiła na mnie duże wrażenie. Na balkonie stał karabin maszynowy, który nie przestawał terkotać. Niebo nad Warszawą było czerwone jak krew od pożarów i przecinały je reflektory szukające samolotów alianckich.

W tym drugim z kolei domu dostaliśmy trochę jedzenia i butelkę starego wina, którym ojciec leczył mnie, kiedy zachorowałam na dyzenterię.

Ale to nie było najgorsze. Najbardziej cierpiałam z powodu swędzenia skóry (skaza wysiękowa, czyli uczulenie) i bólu zęba. A poza tym – dziecko niejadek, byłam ciągle głodna i prosiłam Mamę choćby o skwarę. Oczywiście skwarek nie było, dostałam odrobinę zjełczonego masła.

Kiedy leżałam z bólem zęba na kozetce pod oknem, Niemcy rzucili granat na posterunek stojący przed domem i zabili dwóch powstańców. Jeden z nich bawił się ze mną godzinę wcześniej. Okno wyleciało z framugi i szkło zasypało mnie dokładnie. O dziwo, nawet mnie nie zadrasnęło. To z kolei Ojciec uznał za cud.

A później powędrowaliśmy na Wilczą, do kolejnego domu, gdzie mieszkali znajomi, bezdzietne małżeństwo z pieskiem, którego karmili herbatniczkami. U nich w piwnicy spałam w koszu do bielizny, co też było przeżyciem. Kiedy obok walnęła bomba, wynieśliśmy się z Wilczej i wkrótce po tym zbombardowano dom, w którym się schroniliśmy. Nie wiem, co się stało ze starszym państwem i z pieskiem. Czy przeżyli? Wątpię.

Wróciliśmy znowu do naszej piwnicy na 6 Sierpnia, stwierdziwszy, że nie ma gdzie uciekać. I tam zastała nas kapitulacja Warszawy. W październiku powędrowaliśmy do Pruszkowa. Jechałam „wózkiem” i płakałam, że pozwolili mi zabrać tylko jedną lalkę, i to nie tę najbardziej ukochaną. Misio też został na drugim piętrze w naszym mieszkaniu.

Pamiętam trupy przykryte gazetami, które leżały przy chodniku, i to, że nie robiły one na mnie najmniejszego wrażenia. Uważałam je za zjawisko naturalne.

Natomiast kiedy przenosiliśmy się na Wilczą, wówczas jeszcze nieobjętą powstaniem, byłam zdumiona, że ludzie chodzą po ulicy, nie kuląc się i nie przebiegając pod barykadą, co zawsze robiłam wraz z dorosłymi. Zdumiewa mnie do dziś, jak szybko dzieci przyzwyczajają się do niezwykłych sytuacji.

W Pruszkowie spaliśmy na cemencie w hali fabrycznej. Rano nastąpił mój „Sąd Ostateczny”. Gestapowcy z psami sortowali ludzi na młodych i starych. Pamiętam płacz mojej niani, którą wywieziono do obozu pracy pod granicę holenderską. Miała 29 lat. A nas zagoniono do wagonów bydłowych, które na szczęście nie miały dachów, więc leżąc pod „skórą” Taty, mogłam patrzeć na gwiaździste niebo i po dwóch miesiącach piwnicy było to cudowne.

A kiedy pociąg gdzieś się zatrzymał, stał się kolejny cud, z góry zaczęły spadać na nas bochenki chleba, jabłka, pomidory. Czysty „róg Almatei”. Niestety, kilka osób rzuciło się na te przysmaki i później zmarło – wygłodzony organizm nie tolerował

surowych owoców i warzyw.

Pociąg jechał i jechał, jak w bajce o trzech świnkach, którą mi opowiadał Tata, a Ojciec nie wiedząc, gdzie nas wiozą, modlił się, żeby nas zawieźli w Krakowskie, gdzie jako dziecko spędzał wakacje. I to był kolejny cud. Charsznica – otwierają wagony i wyrzucają nas na peron. A okoliczni chłopcy zabierają nas do siebie.

I tu zaczyna się następny, szczęśliwy okres mojego dzieciństwa. We wsi Falniów kończę 5 lat życia i jestem tak z tego dumna, że chodzę po wsi i wszystkim o tym mówię. Gospodarze obdarzają mnie, czym kto ma: bułką, kawałkiem kiełbasy, nawet króliczą czapeczką, w której z dumą wracam do domu.

Japończycy za najważniejsze urodziny dziecka uważają piąte, bo to oznacza, że dziecko przeżyło najniebezpieczniejszy okres życia. Śmiertelność dzieci była niegdyś w Japonii bardzo wysoka. A ja, nic o tym nie wiedząc, zorganizowałam sobie sama takie cudowne urodziny.

Autorstwo: Barbara Sharratt

Źródło: Goniec.net